Rozbieram z uwagą podmiankę

“Demokraci” spod ciemnej gwiazdy, czyli Volksdeutsche Partei, Trzecia Noga Szymona Hołowni i Lewizna w podskokach przywracają praworządność w naszym bantustanie metodą “na rympał” – jak mawiają gitowcy. Nawiązuję do kminy, bo nowy minister kultury, przesunięty na to stanowisko z bezpieki, czyli pan Bartłomiej Sienkiewicz, na podstawie pozorów legalności, których dostarczyła sejmowa uchwała, posłał do telewizji… No właśnie – tu zdania są podzielone.

Na mieście krążą fałszywe pogłoski, że to przyjaciele pana ministra ze sfer zorganizowanej przestępczości, którym jednak zaprzeczają inne fałszywe pogloski, że to są płomienni szermierze praworządności, przypadkowo ozdobieni złotymi łańcuchami z tombaku na byczych karczychach, w czarnych skórzanych marynarach – takich samych, w jakie ubrani byli bezpieczniacy, którzy w 2003 roku, podczas “rewolucji róż” w Gruzji jednymi drzwiami wyprowadzali prezydenta Edwarda Szewardnadze, podczas kiedy inni, w takich samych marynarach, drugimi drzwiami wprowadzali Michała Saakaszwiliego.

Postaw kawę

Skąd się tam wzięli – tajemnica to wielka, chociaż pewnego śladu dostarcza nam osoba Michała Saakaszwiliego. Ten awanturnik według wszelkiego prawdopodobieństswa, był amerykańskim agentem, zainstalowanym przez CIA w Gruzji, kiedy

prezydent Bush przekonał się, że nie powinien przeciągać struny w konflikcie z grandziarzem Sorosem i obmyślił dla niego gruzińskie alimenty, w miejsce utraconych rosyjskich.

Tedy zaraz po rewolucji róż w Tbilisi wylądował czarterowy samolot z Londynu, którym pod fałszywym nazwiskiem przyleciał Borys Abramowicz Bieriezowski, żeby się zorientować, ile z tej całej Gruzji można wyciągnąć. Widocznie jednak lustracja nie wypadła zbyt dobrze, bo jeszcze tego samego roku na Ukrainie wybuchła rewolucja – tym razem "pomarańczowa". Aaaa, Ukraina to co innego! Borys Abramowicz Bieriezowski chciał nawet przyjąć tamtejsze obywatelstwo, ale coś się stało, że nie przyjął, a potem wziął i umarł.

Przypominam tamte wydarzenia, bo mamy sytuację podobną. Po marcowym spotkaniu w Waszyngtonie, na którym prezydent Józio Biden pozwolił niemieckiemu kanclerzowi Scholzowi, by Niemcy urządzały Europę po swojemu, okazało się, że nie ma rady, że Polska musi w związku z tym znowu przejść pod kuratelę niemiecką. A skoro tak, to na politycznej scenie naszego bantustanu musi dokonać się podmianka.

No i się dokonała tym łatwiej, że Amerykanie już wcześniej zdecydowali się spuścić PiS z wodą, instalując w charakterze jasnego idola pana Szymona Hołownię, któremu patronuje z dyskretnego cienia pan Michał Kobosko. No i doszlo do pomianki, przy czym Niemcy byli ostrożniejsi, niż poprzednio i na wszelki wypadek zadbali, by mniej wartościowy naród tubylczy postawić przed prawidłową alternatywą. Po jednej stronie stanął pan Mateusz Morawiecki, odnotowany dwoma pseudonimami operacyjnymi w STASI, a po drugiej – Donald Tusk, też odnotowany, tyle, że tylko jednym pseudonimem. Czegóż chcieć więcej?

Więc kiedy podmianka się dokonała, a pan prezydent zaprzysiągł gabinet Donalda Tuska z licznymi feministrami, w Warszawie wyznaczyli sobie rendez-vous przedstawiciel CIA i szef Mosadu, pod pretekstem złapania Kataru. Dlaczego uznali, że Katar

najlepiej złapać w Warszawie? Tajemnica to wielka, ale może nie aż tak wielka, bo to mógł być tylko pretekst, a tak naprawdę rendez-vous miało na celu odpowiednie przygotowanie podmianki, żeby nie było tak, jak podczas “ciamajdanu” 16 grudnia 2016 roku.

Postaw kawę

Wtedy Amerykanie jeszcze nie pozwolili Niemcom na urządzanie Europy po swojemu, toteż w wigilię “ciamajdanu”, 15 grudnia, przyleciał do Warszawy prawa ręka Trumpa, Rudolf Giuliani, przeprowadził z Naczelnikiem Państwa Jarosławem Kaczyńskim rozmowę ostrzegawczą – bo w końcu CIA coś tam przecież musi wiedzieć – no i odleciał do Ameryki. W związku z tym “ciamajdan” spalił na panewce, co Naszą Złotą Panią z Berlina zniechęciło do walki o demokrację w Polsce i po gospodarskiej wizycie w Warszawie 7 lutego 2017 roku, kazała walczyć o praworządność – co obowiązuje do dnia dzisiejszego, a nawet się nasila.

Tym razem Niemcy lepiej przygotowali podmiankę, działając w porozuminiu i z CIA i z Mosadem, a w dodatku, w momencie, gdy walka o praworządność zaczęła wchodzić w decydującą fazę, to znaczy – gdy pan minister Sienkiewicz, przesunięty z bezpieki na kulturę, wysłał osiłków o byczych karkach, żeby do telewizyjnego vaginetu wprowadzili pana mecenasa Piotra Zemłę – wysłali do Warszawy Reichsleiterkę od praworządności, panią Verę Jurovą – żeby przypilnowała, by wszystko szlo zgodnie z planem.

To rewolucyjna praktyka, podczas gdy rewolucyjnej teorii dostarczył mój faworyt, kwiat światowej jurysprudencji, pan prof. Wojciech Sadurski. Pan profesor, z zagadkowych powodów jest bardziej szczery, niż inni krętacze, więc nie owijając w bawełnę oznajmił, że nie ma rady, tylko gwoli przywrócenia

praworządności trzeba zacząć łamać konstytucję, to znaczy – trzeba łamanie konstytucji kontynuować, tyle, że ze słusznych pozycji, podczas gdy PiS łamał ją z pozycji głęboko niesłusznych. A jakie pozycje są słuszne?

To proste, jak budowa cepa; słuszne, a nawet jedynie słuszne są pozycje demokratyczne. Jak tylko ktoś zajmie demokratyczne pozycje, to nie tylko może łamać konstytucję, ale i lokować oponentów w dołach z wapnem – bo nie ma takich poświęceń, których nie można by dokonać w imię demokracji. Te doły z wapnem to na razie pieśń przyszłości, kiedy w ramach rewolucyjnej praktyki Generalnego Gubernatorstwa głos zabierze "towarzysz Mauzer", a na razie, jeśli w ogóle poleje sie jakaś krew, to raczej tylko z nosa,

Pan prezydent Duda, którego uczestnicy bezpieczniackego rendez-vous w Warszawie chyba nawet nie poinformowali o swojej obecności w naszym bantustanie, skwapliwie korzysta z okazji, by siedzieć cicho i kiedy osiłkowie instalowali pana Zemłę w vaginecie, zwołał Radę Bezpieczeństwa Narodowego, żeby uradziła, jakby tu wygrać wojnę na Ukrainie.

Najwyraźniej pan prezydent nie ma większych zmartwień, bo wprawdzie jest zwierzchnikiem Sił Zbrojnych, nie jest do końca pewien, czy jakaś siła zbrojna posłuchałaby jego rozkazów, gdyby były one sprzeczne z uzgodnieniami poczynionymi między reprezentantem CIA i przedstawicielem Mosadu.

W tej sytuacji lepiej siedzieć cicho, kierując się wskazówką Adama Mickiewicza, który napisał, że "kto tam, gdzie trzeba, zamilczy roztropnie, a wytrwa, choć pod młotem – celu swego dopnie". A jakiego celu pragnie dopiąć pan prezydent? Oczywiście prestiżowej posady w NATO lub ONZ – czego bez protekcji Naszego Najważniejszego Sojusznika uzyskać niepodobna.

Stanisław Michalkiewicz

Postaw kawę

Koniec ukraińskiej awantury?v

Wygląda na to, że moje przypuszczenia w sprawie losów wojny na Ukrainie zaczynają się sprawdzać. Przypomnę, że od samego początku twierdziłem, że Stany Zjednoczone, które zachęciły prezydenta Zełeńskiego do odrzucenia porozumień mińskich z roku 2014 i 2015, postanowiły wydać Rosji wojnę do ostatniego Ukraińca. Wypsnęło się to sekretarzowi obrony Lloydowi Austinowi, który podczas rytualnej pielgrzymki do Kijowa powiedział, że celem tej wojny jest “osłabienie Rosji”.

Czy Rosja została na skutek tej wojny osłabiona? Prawdopodobnie tak, bo ugrzęzła na Ukrainie podobnie, jak Stany Zjednoczone ugrzęzły w Wietnamie, gdzie wojowały przecież nie z Wietnamem, bo z nim poradziłyby sobie w miesiąc – tylko z całym Układem Warszawskim i Chinami na dodatek. Jak pamiętamy, wybory prezydenckie w USA w roku 1968 wygrał Ryszard Nixon tak naprawdę tylko dlatego, że obiecał, iż tę wojnę zakończy – co rzeczywiście zrobił, odwiedzając w tym celu Pekin.

W odróżnieniu od rozmaitych ukraińskich narwańców, którzy upajali się własnymi fantasmagoriami, jak to “zdemilitaryzują”

europejską część Rosji – Amerykanom takie pomysły nawet nie przychodziły do głowy. Najwyraźniej zdawali sobie sprawę, że gdyby Rosja rzeczywiście sie rozpadła, to Syberii nie zagospodarowaliby ani Jakuci, ani Czukcze, ani Samojedzi, tylko Chińczycy, których USA prawdopodobnie już nie mogłyby stamtąd usunąć. I co dalej? Ponieważ na to pytanie nikt nie może udzielić odpowiedzi, to USA – owszem – chciałyby "osłabić Rosję", ale nie za bardzo.

Postaw kawę

Pewne światło na tę sprawę rzucił sekretarz generalny NATO p. Stoltenberg, który wyraził obawę, by ta wojna "nie wymknęła się spod kontroli" Wynika z tego, że przez cały czas znajdowała się pod kontrolą i to w dodatku – z obydwu stron, to znaczy – z amerykańskiej i rosyjskiej. Amerykanie nie dostarczali Ukraińcom broni dalekiego zasięgu, przy pomocy której mogliby atakować Rosję, a z kolei Rosja powstrzymywała się i nadal powstrzymuje, przed niszczeniem np. ukraińskiej infrastruktury kolejowej. Co więcej – wycofała się chyba z niszczenia infrastruktury energetycznej, którą w swoim czasie zdewastował generał Surowikin.

O ile jednak USA i cały Sojusz Atlantycki wspierał Ukrainę dostawami broni i amunicji, o tyle nie był w stanie uzupełniać ubytków w tak zwanej "sile żywej", której część (co najmniej 500 tys.) wyginęła w walkach, część wskutek obrażeń, np. utraty rąk, czy nóg, nie jest już zdolna do walki, no a pozostała część młodych ludzi w znacznym stopniu czmychnęła za granicę. W tym ostatnim przypadku – korzystając z fikcyjnych zwolnień od służby wojskowej, wystawianych za łapówki przez tamtejsze wojskowe komendy uzupełnień, albo nawet nie zadając sobie takiej fatygi.

W rezultacie zapowiadana z wielkim przytupem ukraińska

kontrofensywa okazała się niewypałem z uwagi na to, że upojeni niepowodzeniem rosyjskiego Blitzkriegu Ukraińcy, przez 8 miesięcy się radowali, pozwalajac rosyjskiemu wojsku urządzić chronioną polami minowymi i umocnieniami polowymi, głęboko urzutowaną (na 30-50 km w głąb) obronę zajętych i włączonych do Federacji Rosyjskiej 4 ukraińskich obwodów: ługańskiego, donieckiego zaporoskiego i chersońskiego.

Przypomnijmy, że odrzucone przez Ukrainę porozumienia mińskie przewidywały tylko ustanowienie autonomii w obwodzie ługańskim i donieckim, które jednak miały pozostać w granicach Ukrainy.

Toteż kiedy okazało się, że ukraińska kontrofensywa spaliła na panewce (przez pół roku udało się ukraińskim wojskom posunąć na 19 km i na blisko 1000-kilometrowym froncie zająć obszar ok. 130 kilometrów kwadratowych, każdy zrozumiał, że żadnego przełomu w tej wojnie nie będzie. W dodatku władze ukraińskie w lipcu br. lekkomyślnie się pochwaliły, że Ukraina uzyskała rekordowy poziom rezerw walutowych.

W tej sytuacji, gdy czołowi faworyci Partii Republikańskiej w przyszłorocznych wyborach prezydenckich w USA odgrażają się, że zakończą ukraińską awanturę, podobnie jak Nixon obiecał zakończyć wojnę w Wietnamie, musiała dostroić się do tego również administracja prezydenta Józia Bidena, który najwyraźniej postanowił służyć Ameryce i światu do upadłego.

Ogłosiła, że – po pierwsze – wysyła na Ukrainę komisję celem zbadania co się naprawdę stało ze 140 mld dolarów amerykańskiej pomocy, a po drugie – Departament Stanu nakazał Ukraińcom przeprowadzić antykorupcyjną kurację przeczyszczającą całego państwa, bo jak nie, to USA wstrzymają pomoc.

Ponieważ wykorzenienie korupcji na Ukrainie wydaje się zamierzeniem jeszcze trudniejszym od uprzątnięcia stajni Augiasza, widać było, że administracja prezydenta Bidena poszukuje pretekstu, by się z tej awantury ukraińskiej

wyplątać – ale metodą Kukuńka. Pan Paweł Pitera, małżonek pani Julii, twierdził, że Kukuniek przez całe życie miał jeden problem – jak wynieść za bramę puszkę farby, żeby w razie czego podejrzenie padło na portiera. Raz to jest puszka, innym razem – cała Polska – ale mechanizm jest taki sam.

Toteż, niezależnie od dwóch wspomnianych pretekstów, prezydent Józio Biden chwycił się trzeciego, który wydaje się strzałem w dziesiątkę. Chodzi o to, że kongresmani republikańscy domagają się od prezydenta cięć budżetowych i dodatkowych środków na ochronę granicy amerykańsko-meksykańskiej przez migrantami.

Jeśli administracja nie zgodzi się ani na jedno, ani na drugie – nie chcą uchwalić budżetu na rok 2024. Już we wrześniu w związku z tym Ameryce zagroziła niewypłacalność – ale Izba Reprezentantów w ostatniej chwili uchwaliła budżet tymczasowy na 45 dni – w którym jednak nie znalazła się pozycja o pomocy dla Ukrainy.

45 dni minęło i sytuacja znowu się powtórzyła, więc Izba Reprezentantów znowu przyjęła budżet tymczasowy do stycznia przyszłego roku – ale tam też nie ma środków na pomoc dla Ukrainy. A dotychczasowa forsa właśnie się skończyła. Na domiar złego – ponieważ prezydent Józio Biden zaparł się w sprawie warunków stawianych przez Republikanów i nie chce ustąpić ani na jotę – 6 grudnia Senat USA odrzucił pomysł pakietu pomocowego na ponad 100 mld dolarów, z którego Ukraina miałaby dostać prawie 70 mld.

Prezydent Biden oficjalnie jest załamany, ale jestem pewien, że kiedy nikt nie widzi, to zaciera ręce z radości, że już niczego Ukraińcom nie da – ale nie ze swojej winy, tylko z winy złych Republikanów. *“Taka, panie, kombinacja”* – jak mawiał Antoni Lange.

A jeśli Ameryka niczego Ukraińcom nie da, to nie ma rady – musi nastąpić zamrożenie konfliktu, Bóg wie na jak długo – bo prezydent Zełeński zaklina się, że z Putinem rozmawiać nie

będzie. Możliwe jednak, że ktoś mu podstawi nogę, bo z Ukrainy dobiegają coraz wyraźniejsze pomruki niezadowolenia – również z kół wojskowych, no a wtedy może nawet odbędą się rozmowy z Rosją, które Wiktor Orban chciałby zorganizować w Budapeszcie.

Stanisław Michalkiewicz

Postaw kawę

Autorytety są zgorszone

Nic tak nie gorszy, jak prawda – mawiał Stefan Kisielewski. I rzeczywiście. Ledwo tylko, dla redakcji portalu *„Do Rzeczy”* przedstawiłem komentarz dotyczący kampanii obsrywania Jana Pawła II, odezwały się nożyce w osobie pana red. Batrosza Wielińskiego z *„GW”*, który napisał, że redakcja portalu *„Do Rzeczy” „ściągnęła”* mnie, jako znanego antysemitnika, żebym w rewanżu obsrał *„Gazetę Wyborczą”* i TVN. Jaki był cel redakcji portalu *„Do Rzeczy”* – tego nie wiem, bo jeden z jego redaktorów zwrócił się do mnie o komentarz, bez jakiejkolwiek sugestii, co mam na ten temat powiedzieć – ale myślę, że pan red. Wieliński też tego nie wie, więc jego opowieści o *„ściągnięciu”* mnie przez redakcję *„Do Rzeczy”*, żebym wykonał

obstalunek są albo fantasmagorią, albo – co gorsza – wykonywaniem przezeń zadania zleconego mu przez Judenrat *„Gazety Wyborczej”*.

We wspomnianym komentarzu bowiem wskazałem na dwa środowiska, które kampanię obsrywania Jana Pawła II w Polsce rozpętały – Judenrat *„Gazety Wyborczej”* i żydowską telewizję dla Polaków. Ścisłe kierownictwo *„Gazety Wyborczej”* tworzy przecież grono osób z pierwszorzędnymi korzeniami i to właśnie ono jest wspomnianym Judenratem – bo jakoś przecież trzeba je nazwać, więc dlaczego nie tradycyjnie? Ta nazwa, podobnie zresztą jak określenie *„żydowska gazeta dla Polaków”*, lub *„żydowska telewizja dla Polaków”*, jest merytorycznie uzasadniona. Starsi Czytelnicy *„Najwyższego Czasu”* był może pamiętają mój komentarz do zamieszczonej w *„Gazecie Wyborczej”* relacji z posiedzenia izraelskiego Knesetu, na którym do terytorium państwowego Izraela zostały włączone jakieś resztki obszaru Jerozolimy. Tę obszerną relację Judenrat opatrzył wielkim tytułem: *„Jerozolima nasza!”* Był to wyraz spontanicznego wybuchu uczuć narodowych ścisłego kierownictwa *„GW”*, bo innego wytłumaczenia dla użycia takiego tytułu przez gazetę wydawaną w języku polskim w Warszawie przecież nie ma. Potem Ministerstwo Prawdy ten tytuł z elektronicznego archiwum usunęło, ale w papierowych wydaniach musiało zostać i każdy może to sprawdzić. Zatem – że gazeta *„żydowska”* – to po prostu prawda. Dlaczego jednak *„dla Polaków”*? Powtórzę tedy opowieść o Władysławie Studnickim. Był on polskim patriotą i zarazem – germanofilem – co jest połączeniem rzadkim, ale się zdarza. Podczas okupacji Niemcy zarzucali mu, że nie chce pisywać do niemieckich gazet. – Jak to *„nie pisuję”* – odparł Studnicki – kiedy przecież pisuję, na przykład – do *„Das Reich”*. – No tak – Niemcy na to – ale nie chce pan pisywać do *„Nowego Kuriera Warszawskiego”*. – Oczywiście, że nie – odparł Studnicki. – Ja mogę pisywać do niemieckich gazet dla Niemców, ale nie będę pisał do niemieckich gazet dla Polaków! Jaka jest różnica między jednymi i drugimi? Taka, że niemieckie gazety dla Niemców prezentowały niemiecki punkt widzenia, jako niemiecki

– i to było w porządku. Tymczasem niemieckie gazety dla Polaków prezentowały niemiecki punkt widzenia, jako obiektywny – a to nieprawda. Więc „*Gazeta Wyborcza*” jest taką żydowską gazetą dla Polaków, podobnie jak TVN, założona – jak podejrzewam – przy udziale starych kiejkutów z wykorzystaniem pieniędzy ukradzionych z Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, a następnie sprzedana firmie Discovery Communication, na której czele stoi pan Dawid Zaslaw, z pierwszorzędnymi korzeniami, podobno nawet warszawskimi. Z tego tytułu podlega ona w Polsce szczególnej ochronie ze strony USA – podobnie zresztą, jak wszystkie żydowskie przedsięwzięcia.

Skoro dwa takie ośrodki rozpętały kampanię obsrywania nie tylko Jana Pawła II, ale również – kardynała Adama Sapiehy, czy nawet prymasa Wyszyńskiego – to musiałem postawić pytanie – w jakim celu? Między bajki wkładam odpowiedź, że chodzi im o „*prawdę*” – bo zarówno jedni, jak i drudzy kierują się „*mądrością etapu*”, która z prawdą nie ma nic wspólnego. Podam przykład: w okresie transformacji ustrojowej środowiska tworzące wówczas najtwardsze jądro obecnej „*Gazety Wyborczej*”, uprawiały ostentacyjną amikoszonerię z Kościołem, który na tym etapie żyrował honorowane na Zachodzie certyfikaty przyzwoitości. Kiedy jednak tylko okazało się, że poręczenie Kościoła nie jest już potrzebne, Judenrat natychmiast rozpętał kampanię walki z „*państwem wyznaniowym*” i „*ajatollahami*”. O co zatem chodzi? Ano – chodzi o to, by narodowi polskiemu odpiłować nawet tę namiastkę szlachty, jaką próbuje być duchowieństwo katolickie, by doprowadzić go do stanu bezbronności w momencie, gdy żydowskie organizacje przemysłu holokaustu przystąpią do realizacji „*roszczeń*”, w następstwie czego Żydzi staną się szlachtą naszego mniej wartościowego narodu tubylczego.

Nic tak nie gorszy, jak prawda – więc na ten komentarz natychmiast zareagował nie tylko wspomniany Judenrat, ale również europejski oddział Amerykańskiego Komitetu

Żydowskiego, który uważam za jedno z przedsiębiorstw przemysłu holokaustu. Przy okazji sformułował on nową definicję antysemityzmu. Definicja klasyczna głosi, że Żydzi są winni „*wszystkiemu*”. Wielokrotnie wskazywałem, że to nieprawda, bo np. za wybuchy wulkanów Żydzi żadnej odpowiedzialności nie ponoszą – i tak dalej. Druga, nowsza definicja uznaje za antysemitę każdego, kogo Żydzi nie lubią. Zatem antysemitą można zostać również „*bez swojej wiedzy i zgody*” – żeby użyć formuły stosowanej przy lustracji. Trzecia definicja, stosowana przez Ligę Antydefamacyjną polega na postawieniu znaku równości między antysemityzmem i spostrzegawczością. Wspomniana Liga uznaje za antysemickie opinię, że Żydzi mają duże wpływy w amerykańskim sektorze finansowym, w mediach i przemyśle rozrywkowym. Każdy, kto choć trochę zna amerykańskie stosunki, ten wie, że to najprawdziwsza prawda. No a teraz pan dr Sebastian Rejak, dyrektor europejskiego oddziału Amerykańskiego Komitetu Żydowskiego, odkrył, że antysemityzmem jest określanie przymiotnikiem „*żydowski*” wszystkiego, czego się nie lubi. To oczywiście nieprawda, bo na przykład ja nie przepadam za pizzą – ale wcale nie nazywam jej wynalazkiem „*żydowskim*”, bo wiem, że to wynalazek włoski. Zatem obawiam się, że pan dr Sebastian Rejak, który nie może nawet „*znaleźć odpowiednich słów*” na określenie mojej „*myślozbrodni*”, może w tej sprawie nie mieć racji, podobnie jak pochodząca ze świętej rodziny pani red. Dominika Wielowieyska – obecnie na służbie wspomnianego Judenratu – oraz Wielce Czcigodna Anna Maria Żukowska, w swoim czasie działaczka Ogólnopolskiej Żydowskiej Organizacji Młodzieżowej (ciekawe, że Żydzi zwalczają nacjonalizm w krajach swego osiedlenia, ale sami organizują się na zasadzie narodowej, więc najwyraźniej wiedzą, co dobre) I – o ile pamiętam – redaktorka pisma „*Jidełe*” czyli „*Żydek*”.

Stanisław Michalkiewicz

Cień zbrodniczej bredni

Skazanie doktora Zbigniewa Martyki przez Sąd Lekarski w trybie kiblowym na roczne zawieszenie prawa wykonywania zawodu, wywołało spory rezonans w części opinii publicznej. Konkretnie w tej części, która czuje się zaniepokojona postępami komunistycznej rewolucji, jaka przewala się przez Amerykę Północną i Europę, a której elementem była tresura podjęta przy okazji i pod pretekstem epidemii zbrodniczego koronawirusa. Promotorzy komunistycznej rewolucji zintensyfikowali pod tym pretekstem tresurę całych narodów do zachowań stadnych. Jak wiadomo, taka tresura jest tym skuteczniejsza, im bardziej masowy przybiera charakter, dlatego też każdego, kto próbuje się z tresury wyłamać, promotorzy rewolucji energicznie piętnują przy pomocy zwerbowanych na tę okazję hunwejbinów, wśród których – jak się okazuje – znalazł się też Sąd Lekarski. Charakterystyczna przy tym jest recydywa stalinowskich metod, o których renesansie świadczył nie tylko wyrok, ale również jego uzasadnienie. Doktor Martyka został bowiem skazany za głoszenie poglądów niezgodnych z aktualnym stanem wiedzy medycznej. To uzasadnienie jest absurdalne z samej swojej istoty, bowiem nauka polega między innymi na kwestionowaniu aktualnego stanu wiedzy, bez czego niemożliwy były jakikolwiek postęp. Gdyby „*aktualny stan wiedzy*” w zakresie medycyny nie był kwestionowany, gdyby nie głoszono poglądów z tym stanem sprzecznych, to pewnie do tej pory w akademiach medycznych uczono by najskuteczniejszych formuł zamawiania chorób lub ich odczyniania przy pomocy guseł. Jestem pewien, że mnóstwo ludzi byłoby z tego zadowolonych, bo mogliby się z tego

doktoryzować, habilitować, podobnie jak za pierwszej komuny doktoryzowali się i habilitowali z centralizmu demokratycznego, a więc czegoś, czego nigdy nie było, nie ma i nie będzie. Wtedy też tworzyły się hierarchie, w ramach których funkcjonowały również sądy, pilnujące, by nie pojawiły się jakieś zagrażające temu stanowi rzeczy idee. Na straży tamtego porządku stała partia i jej zbrojne ramię w postaci Służby Bezpieczeństwa, która z każdym niepokornym jegomościem robiła tak zwany porządek. W czasach stalinowskich na przykład, nazywało się to „*kontrrewolucyjną agitacją*", która mogła obejmować nie tylko spiżowe prawdy, zatwierdzane i podawane masom do wierzenia na kolejnych zjazdach partii, ale też spiżowe prawdy naukowe, na przykład – fantasmagorie ulubieńca Józefa Stalina, Trofima Łysenki, który przez Ojca Narodów został uznany za przedstawiciela nowej postępowej nauki, mianowicie – „*nauki przodującej*". Kto w tę przodującą naukę powątpiewał, to znaczy – nie okazywał na jej widok odpowiedniego entuzjazmu, a co gorsza – jeśli ośmielił się podawać w wątpliwość ustalone przez nią raz na zawsze spiżowe prawdy, to mógł wylądować w dole z wapnem, a w najlepszym razie – dostać dziesięć lat łagru, który nauczyłby go pokory wobec osiągnięć nauki przodującej. Pan doktor Martyka w dole z wapnem jeszcze nie wylądował, ani nawet w łagrze w Gostyninie, ale przecież jesteśmy dopiero na początku drogi, więc wszystko dopiero przed nami. W koszmarnych czasach XIX-wiecznych nikomu takie metody dyskusji naukowych jeszcze nie przychodziły do głowy, bo z poglądami sprzecznymi z aktualnym stanem wiedzy dyskutowano na sympozjonach i bez udziału sądów, czy bezpieki. Teraz jednak płomienni szermierze wolności badań naukowych, czy w ogóle – wolności słowa – podkulili pod siebie ogony i pochowali się w mysie dziury – bo oficerowie prowadzący najwyraźniej surowo przykazali im siedzieć w domu. Jakże zresztą inaczej, kiedy przez Europę i Amerykę Północną znowu kroczy w triumfalnym pochodzie nauka przodująca, której koryfeusze, przyglądając się niewielkiej przestrzeni między swymi nogami, co i rusz odkrywają coraz to nowe płcie, z czego powstaje straszliwa wiedza, obrastająca nie tylko w prężne i

cwane kadry, ale również w dogmaty, na straży których coraz częściej zaczynają stawać policje, prokuratury i niezawisłe sądy, przywołujące niedowiarków do porządku przy pomocy oskarżeń o uprawianie „*mowy nienawiści*”? A co to jest ”mowa nienawiści”? To proste, jak budowa cepa. „*Mowa nienawiści*”, to wypowiedzi i poglądy sprzeczne, a przynajmniej odstające od zatwierdzonych przez rozmaite Judenraty – między innymi przez Judenrat „*Gazety Wyborczej*”. Bo odpowiednią atmosferę – podobnie jak w czasach stalinowskich – tworzą postępowe media, sterowane niechybnymi rękami potomstwa przedstawicieli ówczesnej awangardy ludu pracującego miast i wsi. O tej chwalebnej ciągłości świadczy nie tylko kontynuacja kadrowa, ale również mechanizm propagandy, polegający na tym, by nadzorcy i kaci prezentowali się w charakterze ofiar.

Oto niedawno minęła kolejna rocznica zamordowania prezydenta Rzeczypospolitej Gabriela Narutowicza. Z jakichś sekretnych przyczyn prezydent Narutowicz nie został – w odróżnieniu od innych polityków II Rzeczypospolitej – potępiony i skazany na damnatio memoriae przez żydokomunę, ale nawet zachował w PRL swoje ulice. Z okazji tej kolejnej rocznicy, na łamach swojej gazety, głos zabrał pan redaktor Adam Michnik, piętnując „*szczujnie*”, czyli psiarnie, jakie trzymała endecja, a teraz trzyma Ciemnogród, prześladujący szlachetny Jasnogród, którego najlepszym przedstawicielem w naszym bantustanie jest właśnie Judenrat „*Gazety Wyborczej*”. To był właśnie przykład tego, znanego z czasów stalinowskich, mechanizmu komunistycznej propagandy, polegającego na tym, że organizatorzy polowań na czarownice użalają się nad swoim losem zwierzyny łownej.

Bo przecież jest publiczną tajemnicą, że w ostatnich 30 latach nie było ani jednej nagonki na osoby lub środowiska broniące swobody wypowiedzi i swobody badań naukowych, w której Judenrat wspomnianej gazety nie odgrywałby zgodnej z leninowskimi normami życia partyjnego, roli jej organizatora, a przynajmniej – uczestnika – jeśli organizatorem został wcześniej kto inny – na przykład stary żydowski grandziarz

finansowy, nawiasem mówiąc – współwłaściciel spółki wydającej wspomnianą żydowską gazetę dla Polaków. Judenrat tradycyjnie stoi w awangardzie walki z „*homofobią*” i innymi orwellowskimi myślozbrodniami. Zgodnie ze swoim przeznaczeniem stanął tedy po stronie gówniarstwa z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, które oskarżyło o rozliczne myślozbrodnie panią prof. Ewę Budzyńską i zażądało usunięcia jej z uczelni. Powtórzyła się w ten sposób historia z czasów stalinowskich, kiedy to ówcześni hunwejbini zainicjowali nagonkę na prof. Władysława Tatarkiewicza pod pretekstem wygłaszania przez niego „*czysto politycznych wystąpień o charakterze wyraźnie wrogim budującej socjalizm Polsce*”. Teraz pretekst był inny; już nie „*kontrrewolucyjna agitacja*”, tylko myślozbrodnie na tle moczopłciowym. Gówniarstwo z Uniwersytetu Śląskiego nie chciało słuchać opinii sprzecznych z rozpowszechnionymi w środowiskach gówniarskich, które – jak to gówniarstwo – w czasach stalinowskich i teraz było i jest bardzo podatne na spiżowe prawdy głoszone przez kontynuatorów Trofima Łysenki, którzy tym razem doskonalą się w genderactwie i innych zbrodniczych bredniach, kładących się coraz gęstszym cieniem na polskich uniwersytetach. I władze Uniwersytetu Śląskiego tchórzliwie przyznały rację gówniarstwu. Tchórzliwie – bo pewnie w obawie, że w przeciwnym razie ich również wytupie ono z sal wykładowych. Tak właśnie działa mechanizm szczujni w służbie komunistycznej rewolucji, której Judenrat „*Gazety Wyborczej*”, podobnie jak inne Judenraty, pełni „*z okiem bystrym i ręką niechybną*”.

Stanisław Michalkiewicz

W pogoni za „ułudą władzy”

W ramach przygotowania do przyszłorocznych Dni Młodzieży w Lizbonie, w Krakowie odbywa się sympozjon, w których biorą udział biskupi z 30 państw europejskich. Potępili wojnę na Ukrainie, stwierdzając, że doprowadziła do niej *„ułuda władzy i chciwość nielicznych”*, ale przezornie nie precyzując, czyja *„ułuda”* do tego doprowadziła, ani kim są ci *„nieliczni”*, którzy tak dokazują. Jeśli chodzi o *„ułudę”* to warto przypomnieć spostrzeżenie XVII-wiecznego francuskiego aforysty, że *„trudniej jest nie dać rządzić sobą, niż rządzić innymi”* – ale każdy chce się o tym przekonać osobiście, tak samo, jak o trafności spostrzeżenia, że pieniądze nie dają szczęścia. Na pierwszy rzut oka można się domyślać, że chodzi o zimnego ruskiego czekistę Putina, ale on jest tylko jeden, a przecież wprawdzie chodzi o *„nielicznych”*, ale jednak tworzących grupę. Kto w takim razie poza Putinem odczuwa *„ułudę władzy”*? Myślę, że Księża Biskupi oceniają sytuację pod tym względem nazbyt optymistycznie, bo ludzie odczuwający tę ułudę wcale nie są tacy nieliczni – o czym świadczą nie tylko ogromne liczby kandydatów stających do demokratycznych wyborów w każdym nieszczęśliwym kraju, ale również kły i pazury nagminnie używane w walce politycznej. W odróżnieniu od innych krajów, na przykład – od Ukrainy – gdzie walce o władzę w roku 2014 towarzyszyła strzelanina, Polska wydaje się miejscem safandulskim, co może wynikać z wielu przyczyn. Na przykład stąd, że – w odróżnieniu od Ukrainy – Stany Zjednoczone nie wyłożyły 5 mld dolarów na przeprowadzenie zmiany ekipy rządzącej – bo gdyby wyłożyły, to kto wie, jakby to wszystko w 2015 roku wyglądało. Tymczasem u nas zmiana na pozycji lidera

sceny politycznej dokonała się dzięki straszliwemu spiskowi kelnerów pod kierownictwem pana Marka Falenty, który – jak sądzę – wprawdzie musiał korzystać z pomocy pierwszorzędnych fachowców pragnących zachować anonimowość, ale już o pieniądze musiał starać się na własną rękę, sprzedając materiały podsłuchowe Putinowi – o czym poinformował nas jego wspólnik, zażywający statusu *„małego świadka koronnego”*. Jak tam naprawdę było – tak tam było – i nie o to chodzi, byśmy takie kwestie tu rozstrzygali, bo przecież zastanawiamy się, dlaczego u nas zmiany ekipy trzymającej władzę przebiegają tak łagodnie, że nie tylko trup się nie ściele, ale nawet nikogo nie wsadzają do turmy. Wprawdzie Donald Tusk się odgraża, że wszystkich powsadza i w ogóle – będzie ich dusił gołymi rękami – *„ale my wiemy, że to bajki i że to tylko niecny zwód”* – jak głosiła piosenka popularna za moich czasów w kołach wojskowych. Sęk bowiem w tym, że bezpieczniacy, którzy w Magdalence przygotowali transformację ustrojową, ustanowili jednocześnie niepisaną zasadę konstytuującą III Rzeczpospolitą: *„my nie ruszamy waszych – wy nie ruszacie naszych”*. Dzięki temu, w naszej, podszytej bezpieczniakami młodej demokracji, widowisko przekomarzania – bo przecież jakaś *„walka”* musi dla oka się odbywać – przebiega łagodnie i w rezultacie wszystko kończy się wesołym oberkiem, bez względu na to, czy do steru dorywa się obóz zdrady i zaprzaństwa, czy też obóz płomiennych dzierżawców monopolu na patriotyzm.

Wróćmy jednak do wojny, której wszyscy się sprzeciwiają, chociaż opinie na temat przyczyn, jakie ją wywołały, są podzielone. Na przykład papież Franciszek wyraził przekonanie, że przyczyną tego konfliktu było *„szczekanie NATO pod drzwiami Rosji”* – za co został pryncypialnie skrytykowany przez pana red. Terlikowskiego, pilnującego linii wyznaczonej przez Pana Naszego z Waszyngtonu. Co prawda – o czym już wspominałem – ten konflikt przypomina kryzys karaibski z roku 1962. Jak pamiętamy wszystko zaczęło się od tego, że w roku 1959 Fidel Castro obalił kubańskiego prezydenta Fulgencio Batistę, objął władzę i na dzieńdobry znacjonalizował wszystkie amerykańskie

przedsiębiorstwa, robiące na Kubie kokosowe interesy. Toteż John Kennedy, który w 1961 roku wygrał wybory prezydenckie w USA, pozwolił CIA na przeprowadzenie tajnej operacji, w celu przywrócenia na Kubie prawa i porządku. Ta operacja przybrała postać inwazji w Zatoce Świń, która się nie udała. Ale Fidel się wystraszył, że następna może się udać, więc na wszelki wypadek zacieśnił stosunki z Sowietami, co Chruszczow wykorzystał do zainstalowania na Kubie, 90 mil od USA, sowieckich rakiet z głowicami atomowymi. Kuba była państwem suwerennym, podobnie, jak Ukraina, więc mogła się przyjaźnić, z kim tylko chciała i na swoim własnym terytorium mogła sobie instalować taka broń, jaka jej się podobała – ale prezydent Kennedy, którego z tego powodu nikt nawet nie podejrzewa o to, że był zbrodniarzem wojennym, zarządził morską blokadę Kuby, wskutek czego świat stanął na krawędzie wojny nuklearnej. Wszystko na szczęście skończyło się wesołym oberkiem, więc jeśli to przypominam, to tylko dlatego, żeby w pryncypialnych ocenach moralnych również zachowywać pewien umiar, bo pryncypialność – owszem – ale jednak w granicach przyzwoitości.

Warto o tym pomyśleć właśnie teraz, kiedy za sprawą nowego ruskiego generała, który przejął na Ukrainie dowodzenie, Rosja przyjęła strategię zmierzającą do pozbawienia Ukrainy zdolności nie tylko do prowadzenia wojny, ale w ogóle – do jakiegokolwiek normalnego funkcjonowania. Najwyraźniej „*siłowiki*”, które i wcześniej krytykowały Putina, że na Ukrainie tylko bawi się w wojnę, zamiast prowadzić ją naprawdę, zaczynają przejmować inicjatywę. W związku z tym pani Urszula von der Layen, która obecnie kontynuuje wojnę hybrydową przeciwko Polsce ogłosiła, że Ukraina potrzebuje co najmniej 4 mld euro miesięcznie. Unia gotowa jest wyłożyć 1,5 mld euro – a resztę kto? Przypominać to zaczyna sytuację, gdy grupa przyjaciół bankietuje w restauracji; jedzą, piją lulki palą – aż o 11 zjawia się kelner z rachunkiem. Wtedy gwar cichnie, śmiech zamiera i każdy z niepokojem spogląda na innych.

Toteż media przyniosły wiadomość o zagadkowych rozmowach, jakie przeprowadził amerykański sekretarz obrony Lloyd Austin z ruskim ministrem obrony Sergiuszem Szojgu. O czym rozmawiali – tego oczywiście nie wiem, ale pamiętam, jak sekretarz Austin mówił w Kijowie, że celem tej wojny jest *„osłabienie Rosji”* – a my, jak gdyby nigdy nic, nadal pielęgnujemy *„ułudę”*, że chodzi o dobro wkręconej w maszynkę do mięsa Ukrainy. Co mógł mówić Szojgu, też możemy się domyślić, bo już na początku wojny Putin powiedział, że jednym z jej dwóch celów jest *„demilitaryzacja”* Ukrainy, to znaczy o gwarancja, że nie zostanie ona przyjęta do NATO. W dodatku teraz zbliżają się w Ameryce wybory do Izby Reprezentantów, w których o *„ułudę władzy”* ubiegają się liczni ambicjonerzy z Partii Komu…, to znaczy, pardon – oczywiście Demokratycznej i z Partii Republikańskiej, która opowiada się za ograniczeniem pomocy dla Ukrainy. Gdyby w tych wyborach zwyciężyli Republikanie, to kwestia, kto zapłaci 4 mld euro miesięcznie stałaby się jeszcze bardziej paląca, a w tej sytuacji pojawia się na horyzoncie możliwość *„zamrożenia”* konfliktu – o czym już przed kilkoma miesiącami wspominała ambasadoressa USA przy NATO. Czy Księża Biskupi też tak sobie pomyśleli, wychodząc ze swoim *„potępieniem”* wojny? W końcu każda wojna toczy się o pokój, więc i ta nie jest wyjątkiem.

Stanisław Michalkiewicz

Program na etap surowości

Całe szczęście, że ludzie wprawdzie mają dobrą pamięć, ale krótką, co pozwala im zachować dobre mniemanie o własnej prawości i pryncypialności. Oto reakcją całego miłującego pokój świata, w więc USA i państw w taki czy inny sposób od nich zależnych na decyzję Putina o włączeniu do terytorium Federacji Rosyjskiej czterech kolejnych obwodów na Ukrainie: ługańskiego, donieckiego, zaporoskiego i chersońskiego, było oburzenie i potępienie. Nawet Konfederacja, w której przecież roi się od ruskich agentów, co nieubłaganym palcem wytyka jej pani red. Danuta Holecka bez względu na to, czy rządową telewizją rządzi pan Jacek Kurski z pierwszorzędnymi korzeniami, czy jakiś goj. Teraz bowiem pan Jacek został przez Naczelnika Państwa spuszczony z wodą, być może gwoli uniknięcia ostentacji przy której nawet najbardziej wierzący i oddani wyznawcy mogliby zacząć nabierać wątpliwości, jak to możliwe, że propagandą zarówno obozu zdrady i zaprzaństwa, jak i obozu *„dobrej zmiany”*, kieruje dwóch żydowskich braci Kurskich? Wyobrażam sobie, jak obydwaj musieli się z głupich gojów zaśmiewać podczas okazjonalnych spotkań w rodzinnym gronie. Wracając tedy do Konfederacji, to ona też znalazła się na poziomie, oburzając się i potępiając, jak się należy. Na jej usprawiedliwienie można podnieść, że jest ona formacją nową, grupującą ludzi raczej młodych, którzy niekoniecznie muszą pamiętać wczesne lata 90-te, kiedy to Nasz Najważniejszy Sojusznik oraz Nasz Mniejszy Sojusznik Naszego Najważniejszego sojusznika, rozbierali Serbię, która po rozpadzie Jugosławii, była suwerennym państwem, jak – nie przymierzając – Ukraina. Nawiasem mówiąc, ta cała Jugosławia zawsze przeszkadzała Niemcom, którzy traktowali ją – a Serbię w szczególności – jako enklawę ruskich wpływów w *„swojej”* to znaczy – niemieckiej części Europy. Kiedy zatem Jugosławia na skutek

proklamowania niepodległości przez Słowenię i Chorwację – co Niemcy jeszcze tego samego dnia, jako pierwsze i początkowo jedyne państwo na świecie uznały – się rozpadła, a Bałkany zostały wepchnięte w otchłań krwawej wojny domowej, Niemcy uznały, że przyszedł czas na rozebranie samej Serbii. W tym celu w Kosowie wymyślony został specjalny naród „*Kosowerów*”, którzy – podobnie jak Kosowery Donieckie, Ługańskie, Zaporoskie i Chersońskie – oczywiście zapragnęli własnego, niepodległego państwa. Serbia nie chciała zgodzić się na oderwanie Kosowa, które dla niej jest rodzajem narodowej kolebki. Wtedy jednak Nasz Najważniejszy Sojusznik posłał nad Serbię bombowce, które wkrótce stłumiły serbski opór i w ten sposób Kosowery dostały niepodległe państwo. Wprawdzie nie wszyscy je uznają, podobnie jak nie wszyscy uznają przynależność Krymu do Rosji (do czasu naszej zabawy w mocarstwowość z panią Swietłaną – obecnie na łaskawym chlebie jakiejś bezpieki – to nawet prezydent Łukaszenka tego nie uznawał), ale USA – jak najbardziej, a skoro USA, to – jak myślisz Koteczku? – Polska też. Co oczywiście nikomu nie przeszkadza w demonstrowaniu świętego, oburzenia i potępienia, bo – jak wcześniej zauważyłem – ludzie wprawdzie mają dobrą pamięć, ale krótką, co pozwala im to robić w poczuciu pierwotnej niewinności.

Teraz wszyscy się odgrażają, że „*nigdy*” nie uznają aneksji tych czterech kolejnych obwodów do Rosji. To oczywiście bardzo pryncypialnie, ale warto przypomnieć, co powiedział Churchill premierowi Mikołajczykowi, gdy ten powiedział mu, iż Polska „*nigdy*” nie zgodzi się na oddanie Wilna i Lwowa. Mruknął wtedy: hmm, nigdy, nigdy… To jest słowo, którego nikomu nie można zabronić wymawiać. W związku z tym co nam zaszkodzi przypomnieć, a jaki sposób Wilno i Lwów znalazły się w granicach ZSRR, które Nasi Sojusznicy uznali w Jałcie? Otóż kiedy na podstawie paktu Ribbentrop-Mołotow, Armia Czerwona „*wkroczyła*” na terytorium Rzeczypospolitej, to najpierw „*zajęła*” to znaczy – „*wyzwoliła*” Wilno, a następnie przekazała je Republice Litewskiej. Aliści naród litewski już nie mógł

się doczekać, kiedyż wreszcie dołączy do szczęśliwej rodziny narodów sowieckich i wystąpił do Ojca Narodów, Józefa Stalina, ze stosowną prośbą. Ojciec Narodów na takie supliki nie mógł oczywiście pozostać głuchy, ale – jak mawiał Kukuniek – wszystko musiało odbyć się demokratycznie, toteż na „*Zachodniej Ukrainie*" i „*Zachodniej Białorusi*" stosowne wybory odbyły się zaraz po „*wkroczeniu*", a wybrane w ten sposób władze wystąpiły ze stosownymi prośbami, które zostały uwzględnione. A dlaczego w Jałcie Nasi Sojusznicy uznali te zdobycze Sojusznika Naszych Sojuszników? Bo go potrzebowali nie tylko, żeby pokonać Niemcy, ale również – żeby pokonać Japonię. Toteż – chociaż na tym etapie trudno to sobie jeszcze wyobrazić – gdyby Nasz Najważniejszy Sojusznik z jakiegoś powodu potrzebował zimnego ruskiego czekisty Putina, albo ogólnie – Rosji – na przykład dla sprawniejszego przeprowadzenia ostatecznego rozwiązania kwestii chińskiej, to przedstawiłyby prezydentowi Zełeńskiemu, czy jakiemukolwiek jego następcy, propozycję nie do odrzucenia; albo uzna rozbiór Ukrainy, albo nie dostanie ani jednej lufy i ani jednego naboju. Zdaje się, że tym razem do prezydenta Zełeńskiego zaczyna coś docierać, bo doszedł do wniosku, że tym razem Putin nie blefuje, chociaż dwa dni wcześniej jeszcze się z niego natrząsał.

Warto przypomnieć, że w czasie przeprowadzania wyborów na Zachodniej Ukrainie, Zachodniej Białorusi i w Republice Litewskiej, Szechtery ani się nie oburzały, ani niczego nie potępiały. Przeciwnie – na tamtym etapie wszystkie Szechtery były za towarzyszem Stalinem („*a my wszyscy za towarzyszem Stalinem!*") i w jego służbie wykonywały zadania delatorskie, policyjne i katowskie, między innymi – na polskiej ludności Kresów Wschodnich. Na „*Zachodniej Białorusi*" krążył nawet taki anonimowy wierszyk: „*Hop, naszy hreczanniki! Usie Żydy naczalniki, Usie Poliaki na wywoz, Biełarusy – w kołchoz!*" Przypominam to, bo dzisiaj, kierując się mądrością obecnego etapu, Szechter z całym Judenratem „*Gazety Wyborczej*", wzywa do „*denazyfikacji*" Kremla. Chyba jednak nie chodzi mu o to, by

swoimi bombami atomowymi Kreml został obrzucony przez bezcennny Izrael? W takim razie – kto ma *„zdenazyfikować”* Kreml? Jeśli nie Ukraińcy, to przede wszystkim – Rosjanie. Tak to sobie wykombinowały amerykańskie Szechtery, a nasz, tubylczy, *„nawołuje”*. No dobrze – ale skąd mogłibyśmy mieć pewność, że *„denazyfikacja”* Kremla się dokonała? Myślę, że najbardziej przekonujące byłoby, gdyby Putin i cała jego kamaryla, została zapędzona do gazu przez żydowskie Sonderkomando, a następnie – spalona w krematoriach (*„Nu cztoż, że dymią krematoria? Taż w nich przetapia się historia! Niewoli topią się okowy!”*). Chodzi o to, że tylko Żydzi mają do nazistów specjalnego nosa, toteż najlepiej się nadają do przeprowadzenia *„denazyfikacji”* wszędzie, a już specjalnie na Kremlu, gdzie oprócz *„nazistów”* może się też błąkać wielu niewinnych cywilów.

A jeśli żydowska załoga byłaby niewystarczająca, to w kolejce stoi Arnold Schwarzenegger. Niedawno był w Polsce i pojechał na wycieczkę do Oświęcimia, gdzie zwiedził tamtejszy, chwilowo nieczynny obóz. Uprzedzając klangor, który znowu się podniesie w związku z tym określeniem, śpieszę wyjaśnić, że po tej wycieczce Arnold Schwarzenegger oświadczył, że *„nienawiść należy eksterminować!”* To samo postulowałem jeszcze w pierwszych latach 90-tych kiedy w felietonie *„Nienawiść znienawidzona”* , w odróżnieniu od Arnolda Schwarzeneggera, zastanawiałem się – jak to zrobić. Inspiracji dostarczyły mi entuzjastyczne opowieści o działalności żony Nelsona Mandeli, pani Mandeliny. Otóż pani Mandelina znienawidziła nienawiść do tego stopnia, że nieomylnym nosem nauczyła się wykrywać nienawistników, a jak już jakiegoś wykryła, to zawieszała mu na szyi płonącą oponę samochodową w taki sposób, że nienawistnik nie mógł się już od niej uwolnić. Zrozumiałem wtedy, że nie wystarczy znienawidzić samej nienawiści, bo ona przecież nie unosi się w powietrzu na podobieństwo metanu, uwolnionego z *„rozszczelnionych”* przez nieznanych sprawców bałtyckich podmorskich gazociągów. Nienawiść zlokalizowana jest w nienawistnikach, więc jeśli – zgodnie z wezwaniem

Arnolda Schwarzeneggera – mamy ją „*eksterminować*”, to chyba jasne jest, że razem z nienawistnikami, bo przecież inaczej się nie da. No dobrze – ale kto jest nienawistnikiem, jak takiego nienawistnika wykryć? Ach, to już proste, jak budowa cepa. Nienawistnik, to każdy, kto się z nami nie zgadza. W tej sytuacji nie ma rady, trzeba przystąpić do „*eksterminacji*”, a w tym celu dobrze byłoby wykorzystać istniejącą infrastrukturę w Oświęcimiu i innych zachowanych, a chwilowo nieczynnych obozach, a także wykorzystać zebrane wcześniej doświadczenia, dzięki którym eksterminacja nienawiści przebiegałaby płynnie i bez zakłóceń. I to jest program na nadchodzący etap surowości.

Stanisław Michalkiewicz

Cukerbergów do pionu!

„*Nie zadzieraj z Texasem!*” Takie hasło – przestrogę umieszczają teksańczycy na pamiątkowych gadżetach, na przykład – breloczkach do kluczyków samochodowych. Wprawdzie inne stany, zarówno w USA, jak i w Unii Europejskiej, też wygłaszają buńczuczne slogany, że na przykład – nie oddadzą „*ani guzika*” – ale potem ktoś ściąga z nich portki razem z kalesonami. W Teksasie chyba jest inaczej i kiedy pierwszy raz tam przyjechałem, uderzył mnie nie tylko tamtejszy rozmach, ale i widoczne przywiązanie do wolności. Dzisiaj wolność jest oczywiście na ustach wszystkich, ale zdecydowana większość cierpliwie znosi coraz to nowe jej ograniczenia, wprowadzane

głównie pod pozorem bezpieczeństwa. Tak właśnie postanowili niedawno nasi Umiłowani Przywódcy, którzy – jak głoszą fałszywe pogłoski – dlatego tak szastają forsą, że pozastawiali lichwiarzom rozmaite krajowe bogactwa naturalne. Czy to jest przygotowanie do budowy Ukropolin, jako formy realizacji ustawy nr 447 – o tym się przekonamy, chociaż z pewnością taka proklamacja nowej „*unii*" byłaby okraszona z jednej strony jakimiś hurrapatriotycznymi deklamacjami, a z drugiej… Nie wierzę niezdementowanym informacjom – mawiał rosyjski minister spraw zagranicznych, książę Gorczakow. Wspominam o tym, bo właśnie Ukraińska Cerkiew Prawosławna energicznie zdementowała fałszywe pogłoski o planowanej kanonizacji Stefana Bandery – ale dlatego, że był on podobno wyznania grekokatolckiego, więc Cerkiew Prawosławna kanonizować go nie może. Ale przecież na Cerkwi Prawosławnej świat się nie kończy, bo przecież jest wiele innych wyznań, ot, choćby to, które przypisywane jest Stefanowi Banderze, więc wykluczyć niczego nie można, zwłaszcza w sytuacji, gdy prezydent Zełeński nawołuje, by tymi „*kontrowersyjnymi*" sprawami zajęli się „*historycy*". O, to to! Historyków na świecie nie brakuje, zwłaszcza takich „*światowej sławy*", jak np. Jan Tomasz Gross, czy pan prof Grabowski, więc jak się czymś zajmą, to mogą dojść do nieoczekiwanych wniosków, które profani będą musieli nolens volens zaakceptować. Dzięki temu papież Franciszek mógłby udelektować Naszego Pana z Waszyngtonu, no i oczywiście – prezydenta Zełeńskiego – gdyby na złość Putinowi, co to chciał „*denazyfikacji*" Ukrainy, kanonizował Stefana Banderę jako santo subito.

Ale przywołuję postać księcia Gorczakowa również dlatego, że niedawno niemiecka minister do spraw europejskich, pani Anna Lurhmann, energicznie zdementowała sugestie Naczelnika Państwa, jakoby Niemcy budowali IV Rzeszę. Nie chcemy budować IV Rzeszy – powiedziała pani minister. To oczywiście bardzo ładnie – ale w takim razie co Niemcy chcą budować? W umowie koalicyjnej trzech partii tworzących aktualny niemiecki rząd, do którego pani Anna należy, zapisano intencję budowania

europejskiego państwa o strukturze federalnej. To zresztą nic nowego, bo ta sprawa została przesądzona w traktacie z Maastricht, który wszedł w życie w 1993 roku. Traktat ten zmienił formułę funkcjonowania Wspólnot Europejskich z konfederacji, czyli związku państw, na federację, czyli państwo związkowe. Taką Unię Europejskią stręczył nam przed referendum w sprawie Anschlussu w roku 2003 nie tylko szef Volksdeutsche Partei Donald Tusk, ale i Naczelnik Państwa, który po 20 latach bredzi coś o „*Europie Ojczyzn*", której już dawno nie ma i chyba nie będzie, bo przecież na gmachu w Brukseli nie na darmo uhonorowano włoskiego komuszka Spinellego, który przecież głosił potrzebę likwidacji historycznych europejskich narodów. No, może nie wszystkich, bo – jak powiedział na zebraniu gauleiterów w roku 1943 Adolf Hitler – te wszystkie małe państwa powinny z Europy zniknąć, bo tylko Niemcy mogą sprawować tu skuteczne przywództwo. A pod jakim hasłem – to już sprawa nieistotna, bo to zależy od etapu. Raz to może być „*Herrenvolk*", a innym razem – co podkreśla pani Anna – „*projekt pokoju*". Ale i „*projektem pokoju*" ktoś przecież musi kierować, podobnie, jak Herrenvolkiem, czy demokracją, więc – jak powiadają gitowcy – „*wszystko gra i koliduje*". O ile jednak Adolfowi Hitlerowi wydawało się, że najłatwiej będzie zjednoczyć Europę siłą, to na obecnym etapie, to znaczy – po klęsce Adolfa Hitlera – okazało się, że jeszcze lepszą, a przede wszystkim – bezpieczniejszą metodą – jest tak zwane „*pokojowe jednoczenie*" które polega na przekupywaniu biurokratycznych gangów okupujących poszczególne europejskie bantustany. Proces ten rozpoczyna się etapem umizgów, który potem przechodzi w etap surowości, w jaki właśnie wkraczamy. Toteż Naczelnik kwiczy teraz o IV Rzeszy, ale to są tylko takie bezsilne złorzeczenia, podobnie jak ogłoszony niedawno program „*dążenia*" do „*reparacji*".

Rozgadałem się o tym całym Eurokołchozie, a przecież chciałem o Teksasie, którego władze właśnie uznały, że praktykowanie przez cukerbergów cenzurowania mediów społecznościowych jest

„*nielegalne*”. Rozumiem, że było nielegalne również wtedy, kiedy cukerbergi ocenzurowały prezydenta USA Donalda Trumpa, który mimo nadymania się potęgą, nie mógł nic na to poradzić i tylko się żalił na swoją dolę przed współczującą publicznością. Tymczasem cukerbergi cenzurują media społecznościowe i u nas, więc warto by postawić pytanie, czy u nas cenzurowanie jest legalne, czy też nielegalne – jak w Teksasie? Art. 54 ust 2 konstytucji expressis verbis zakazuje prewencyjnego cenzurowania środków społecznego przekazu i ta zasada obowiązuje nie tylko organy władzy publicznej, ale również – prywatne przedsiębiorstwa, działające na obszarze Rzeczypospolitej Polskiej. Aż dziw bierze, że ci wszyscy obrońcy konstytucji, z Kukuńkiem na czele, nie zauważyli tego słonia w menażerii, tylko kicają, ale w całkiem innych sprawach, mianowicie w sprawie uwolnienia sędziów od wszelkiej odpowiedzialności za ich dokazywanie. Tymczasem, zgodnie z obowiązującą w cywilizowanym świecie zasadą indywidualizacji odpowiedzialności karnej i cywilnej, powinni odpowiadać własnym majątkiem za szkody wyrządzone sprzecznym z prawem wyrokiem. Tymczasem przestępcza solidarność przebierańców właśnie się objawiła w wyroku Międzynarodowego Trybunału Praw Człowieka, do którego zaskarżyła Polskę pani Rabczewska, czyli „*Doda*”. Kiedy jeszcze była naturalną przyjaciółką niejakiego „*Nergala*”, co to uważany jest za delegata Belzebuba na Polskę, a w każdym razie – na województwo pomorskie – wypsnęła się jej opinia, że prędzej uwierzyłaby w dinozaury, niż w Biblię, napisaną przez facetów naprutych winem i palących jakieś zioła. Została za to skazana przez niezawisły sąd na jakąś karę odwołała się od tego do wspomnianego Trybunału, który uznał, że w ten sposób doznała ona ograniczenia swobody wypowiedzi i nakazał polskim podatnikom zrzucić się dla niej na 10 tys. euro – chociaż podatnicy z tym wyrokiem nie mieli nic wspólnego. Skoro – jak się okazuje – „*Dodzie*” wolno było wygłaszać opinie na temat dinozaurów i Biblii, to dlaczego inne opinie są bezkarnie cenzurowane w społecznościowych mediach kierowanych przez cukerbergów? Dlaczego pan prezydent Duda, co to przysięgał dwa razy na konstytucję, ani rząd

„dobrej zmiany” na to nie reaguje? Nawet jeśli boi się cukerbergów, których przeląkł się nawet buńczuczny i krzykliwy Donald Trump, no to chyba ich polskich pomagierów, którzy te cenzuralne praktyki stosują, aż tak się nie boi? Dlaczego zatem niezależna prokuratura przy pomocy ABW jeszcze ich nie zatrzymała i nie zwróciła się do niezawisłych sądów, by ich aresztowały, bo jasne jest, że w tym przypadku obawa matactwa graniczy z pewnością? Miejmy nadzieję, że te pytania nie spotkają się z głuchym i – co tu ukrywać – tchórzliwym milczeniem zarówno ze strony władz państwowych, jak i bezpieki i prokuratury, które powinny chronić konstytucyjny porządek przez bezprawnymi zamachami, nawet ze strony cukerbergów i ich funkcjonariuszy.

Stanisław Michalkiewicz

Kto rządzi światem?

Niedawno Organizacja Narodów Zjednoczonych, a konkretnie – UNESCO – kolaborując z Twitterem, Komisją Europejską i Światowym Kongresem Żydów wypowiedziała wojnę *„teoriom spiskowym”*, według których wydarzenia *„są tajemnie manipulowane za kulisami przez potężne siły z negatywnymi intencjami”*. Zanim przejdziemy do rozebrania sobie z uwagą deklaracji ONZ i jej kolaborantów, przyjrzyjmy się tej stronie wojującej. Na początek – ONZ. Wbrew swojej nazwie, jest to międzynarodówka biurokratycznych gangów, okupujących

poszczególne narody, może z wyjątkiem niektórych, ale te ewentualne wyjątki tylko potwierdzają ogólną regułę. Dodajmy, że Organizacja Narodów Zjednoczonych narodziła się podczas II wojny światowej, jako rodzaj światowego, kolektywnego policjanta, tworzonego przez tzw. stałych członków Rady Bezpieczeństwa, którzy mieli się namawiać, kogo brać pod obcasy, a kogo nie. Teoretycznie wszystko grało, ale pech chciał, że w łonie tego kolektywu pojawiły się niesnaski, które wkrótce przekształciły się w otwartą wrogość, więc uzyskanie w tych warunkach wymaganej przy podjęciu decyzji jednomyślności, było i jest bardzo trudne. Mimo to niekiedy do takiej jednomyślności dochodziło, ale w niektórych przypadkach zainteresowane państwo olewało decyzje kolektywu ciepłym moczem. Tak było w przypadku kilku rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ – bo o niej mowa – dotyczących konfliktu między Izraelem i krajami arabskimi na Bliskim Wschodzie. Izrael puszczał te rezolucje mimo uszu wiedząc, że Stany Zjednoczone, jeśli nawet za tymi rezolucjami w Radzie Bezpieczeństwa głosowały, to będą udawać, że nic się nie stało, bo prezydenta USA, który odważyłby się wystąpić przeciwko Izraelowi, Światowy Kongres Żydów rozsmarowałby na podłodze w Gabinecie Owalnym Białego Domu. Pomijając jednak tę incydentalną kwestię, to czy przypadkiem Rada Bezpieczeństwa ONZ nie została pomyślana jako *„potężna siła”*, która, nawet niekoniecznie *„za kulisami”*, tylko przy otwartej kurtynie będzie trzymała w ryzach narody, które z jakichś względów podpadną piątce trzymającej władzę? Tak to zostało pomyślane, a że nie chciało działać zgodnie z intencjami, to sprawa osobna. Chodzi bowiem o to, że komu, jak komu, ale Organizacji Narodów Zjednoczonych nie bardzo wypada wojować z *„teoriami spiskowymi”*, skoro ona sama została pomyślana jako rodzaj spisku. Podobnie Komisja Europejska, będąca rodzajem listka figowego, który ma przysłonić figę w postaci IV Rzeszy, kierowanej zza parawanu w postaci Unii Europejskiej przez Niemcy. Jeśli Unia Europejska nie jest spiskiem przeciwko europejskim narodom, to ja jestem chińskim mandarynem. Przecież w *„Manifeście z Ventotene”*, który spiżowymi literami

jest upamiętniony, razem ze swoim autorem, włoskim komuszkiem Spinellim na gmachu w Brukseli, jest zapisana intencja „*likwidacji*” historycznych narodów europejskich, jako warunku pokojowej Europy! Prostolinijny Adolf Hitler rozumiał to dosłownie, ale okazało się, że taka ostentacja była błędem, więc obecnie, nie bez pomocy Światowego Kongresu Żydów, realizowana jest metoda pokojowego rozkładu historycznych europejskich narodów, by eksploatować je do spółki z biurokratyczną międzynarodówką, a kiedy padną – zrobić mydło. Czy to są „*negatywne intencje*”? To ważne pytanie, bo deklaracja ONZ, którą powinniśmy sobie rozebrać z uwagą wspomina o „*potężnych siłach*” z „*negatywnymi intencjami*”. Wystarczy tedy przekonać, to znaczy – przekupić skorumpowanych intelektualistów, publicystów i tak zwane „*gwiazdy*”, czyli panienki, co to uchodzą za sawantki z powodu wyjątkowo kształtnego biustu lub pośladków – by wszyscy uznali, że te „*intencje*” wcale nie są „*negatywne*”, tylko przeciwnie – szalenie pozytywne – i już wszystko będzie w jak najlepszym porządku, bo z zacytowanego oświadczenia ONZ wynika jak na dłoni, że sekretne porozumienia, którym nie towarzyszą żadne „*negatywne intencje*” nie są przedmiotem potępianych teorii spiskowych.

Najzabawniejsze są jednak zbawienne pouczenia, które wykombinowali sobie filuci, co to wydrążyli sobie nisze ekologiczne w UNESCO. Jest to agenda ONZ, której nazwę już dawno rozszyfrowano, jako skrót Zjednoczonych Narodów Eating, Sleeping Catering, czyli Żarcia, Spania i Bankietowania (zwanego również Imprezowaniem) Organizacja. Co prawda w samym ONZ zdarzają się nieporozumienia z filutami z UNESCO, o czym świadczy np. incydent z udziałem strażnika. Legitymując filuta z UNESCO strażnik, chcąc okazać się na poziomie, oświadczył: „*wiem, wiem; to mały ale bardzo dzielny naród!*”

Cóż więc ten ”mały, ale bardzo dzielny naród” wykombinował przeciwko teoriom spiskowym? Otóż „*dzielny naród*” przezornie odradza swoim mikrocefalom wdawanie się w dyskurs z

głosicielem teorii spiskowej, tylko namawia ich do podejmowania *„odpowiednich działań”*. Te *„odpowiednie działania”* polegają na *„sygnalizowaniu”*, które w dawnych, koszmarnych czasach nazywane było donosicielstwem, takich podejrzanych przypadków do *„witryny”*, co to *„sprawdza fakty”*. Tam pierwszorzędni fachowcy już się takim głosicielem teorii spiskowej zajmą po swojemu i nawet się nie spostrzeże, kiedy *„za oknem dojrzy kontury tanku, potem na schodach usłyszy kroki”*. Ale żeby już całkiem swoich mikrocefali nie duraczyć, filuci z UNESCO wspaniałomyślnie dopuszczają istnienie *„prawdziwych”* spisków. No dobrze, ale jak odróżnić spisek *„prawdziwy”* od *„fałszywego”*, czyli *„wyimaginowanego”*? Okazuje się, że to proste, jak budowa cepa. Otóż różnica między spiskiem prawdziwym i fałszywym polega na tym, kto go zdemaskował. Jeżeli taki jeden z drugim spisek zdemaskowali licencjonowani *„demaskatorzy”*, albo *„media”*, to jest on absolutnie prawdziwy i nie tylko wypada weń wierzyć, ale nawet się powinno, pod rygorem utraty przyzwoitości. Jestem pewien, że filutom z UNESCO to kryterium podsunęli weterani ze Światowego Kongresu Żydów, co to samego jeszcze znali Stalina. Chodzi o to, że za Stalina w ZSRR działała kierowana przez Izraela Gubelmana organizacja *„Bezbożnik”*, która wydawała żydowski odpowiednik hitlerowskiego *„Der Sturmera”* pod takim właśnie tytułem. Wśród działaczy *„Bezbożnika”* byli *„demaskatorzy cudów i zabobonów”*, więc inspirację widać jak na dłoni. I tak, na przykład straszliwy spisek przeciwko spółce *„Agora”*, kiedy to Rywin przyszedł do Michnika z korupcyjną propozycją *„lub czasopisma”*, został zdemaskowany nie przez byle kogo, ale przez samego nastajaszczego demaskatora, pana red. Michnika, toteż był to spisek prawdziwy. Kiedy jednak pan red. Michnik był wzywany do odpowiedzi na pytanie, czego *„komisja”* z jego udziałem szukała w archiwach MSW, czy to znalazła i jaki zrobiła z tego użytek, to głuche milczenie musiało wystarczyć za odpowiedź – toteż i UNESCO na podstawie tych doświadczeń przestrzega, by nie wdawać się z głosicielami teorii spiskowych w żadne dyskursy, a to, że pan red. Michnik biega za autorytet moralny, to jest pełny spontan, odlot i

wyraz jego rozlicznych zalet, z których jest zrobiony.

Stanisław Michalkiewicz

Marzenia leciwych dziewcząt

„Socjały nudne i ponure” – jak socjalistów określał Julian Tuwim w wierszu: *„Autor uprasza liczne zastępy bliźnich, aby go w d… pocałowali”* – są przekonane, że siłą napędową dziejów są stosunki własnościowe, czyli tzw. *„micha”*. Toteż starają się oni, albo w sposób łagodniejszy, ewolucyjny, albo w sposób brutalny, rewolucyjny, te stosunki własnościowe skorygować. Na przykład żydowski teoretyk ludobójstwa Karol Marks uważał, że jeśli tylko zlikwiduje się własność, to państwo zostanie zastąpione przez *„społeczeństwo wolnych wytwórców”* i nastanie okres wiecznej szczęśliwości, bo na tym zakończy się historia. Ciekawe, że stanowi to rodzaj karykatury wizji innego Żyda, św. Jana z *„Apokalipsy”*, dotyczącej *„nowego nieba i nowej ziemi”* – że *„czasu już więcej nie będzie”*. Ale Marks nie miał bynajmniej zamiaru objaśniania mechanizmów rządzących światem, których być może w ogóle nie znał, bo – jak sam powiedział – dotychczas filozofowie objaśniali świat, a chodzi o to, by go zmienić. Toteż wykombinował sobie, że jak zlikwiduje własność, to wszystko będzie gites tenteges. Jest dla mnie zagadką, jak to się stało, że takie brednie zdobyły sobie tylu wyznawców. Pewne światło rzuca na to uwaga Dantona, który twierdził, że najlepszym sposobem zapewnienia sukcesu rewolucji, jest

wciągnięcie możliwie największej liczby ludzi do zbrodni, Wtedy nie mają już odwrotu i w służbie rewolucji muszą dopuszczać się coraz to nowych zbrodni. Taki właśnie wniosek wyciągnął też Lenin, rzucając hasło: „*grab nagrabliennoje*" – które wcześniej nadało dynamikę rewolucji francuskiej. Ktoś, kto zamordował właściciela, by zagrabić jego własność, musi rewolucję wspierać, bo w przeciwnym razie nie tylko straci to, co zrabował, ale jeszcze pójdzie na stryczek za to, co nabroił. Ale rewolucja ma własną dynamikę i gdyby ktoś w 1917 i 1918 roku przekonał rosyjskich chłopów, że ich rewolucyjni hersztowie nie będą tolerowali prywatnej własności również u nich i że kilkanaście lat później będą oni konali z głodu we wsiach otoczonych kordonami wojsk NKWD, to może by bolszewików nie poparli. Niestety na świecie jest stosunkowo niewielu ludzi potrafiących przewidzieć skutki własnych działań, bo przewagę liczebną mają durnie, toteż liczba wyznawców socjalizmu, mimo fatalnych z nim doświadczeń, nie powinna budzić aż takiego zdziwienia.

Wygląda na to, że głosząc, jakoby siłą napędową dziejów były stosunki własnościowe, Marks jak zwykle się pomylił, co wytknął mu nawet jeden z jego wyznawców Antoni Gramsci, według którego rewolucja powinna się dokonać w sferze kultury, bo to ona – a nie stosunki własnościowe – jest głównym czynnikiem zniewalającym. No dobrze – ale co to właściwie jest, ta kultura, z czego się ona bierze? Wiele, a może nawet wszystko wskazuje na to, że bierze się ona z wyobraźni. Ileż wyobraźni było potrzeba, by stworzyć szalenie skomplikowany panteon egipski, czy grecki, które w znacznym stopniu, a może nawet w ogóle, zdeterminowały życie tamtejszych ludzi? Ale o ile wyobraźnia wydaje się dla kultury konieczna, to nie wyczerpuje ona jej bogactwa. Drugim czynnikiem wydaje się dociekliwość, czyli pragnienie poznania, jak jest naprawdę. O ile tedy wyobraźnia wprowadza nas w sferę szeroko pojmowanej sztuki, to z kolei dociekliwość znajduje spełnienie w poznaniu, czyli wiedzy, której zdobywanie, gromadzenie i przekazywanie stanowi naukę. Sztuka i nauka, czyli Piękno i Prawda składają się na

kulturę, która – według Gramsciego – miałaby stanowić główny czynnik zniewalający człowieka. Wydaje się oczywistą nieprawdą, jako że kultura stanowi istotę człowieczeństwa, więc jeśli socjaliści chcą przeciwko kulturze wystąpić i zastąpić ją jakąś imitacją, to znaczy, że ich ideologia stanowi ogromne niebezpieczeństwo dla rodzaju ludzkiego, że komunizm jest antycywilizacyjny i antyludzki.

Niestety komuniści są też ludźmi, a w każdym razie – istotami człekopodobnymi, niczym dla Żydów tak zwani „*goje*" – a jednym z dowodów na ich pokrewieństwo z ludźmi są marzenia. I oto rąbka tajemnicy na temat swoich marzeń właśnie uchyliła Wielce Czcigodna Joanna Scheuring-Wielgus, zwierząc się pani redaktor Elizie Michalik w następujących słowach: „*ja bym marzyła, żeby premierem był Krzysztof Śmiszek. Chciałabym, żeby przyszłymi ministrami były osoby kompetentne i żeby były to kobiety, żeby ta szala na ważnych stanowiskach przechyliła się po stronie kobiet.*" Ponieważ wiadomo, że Kopernik była kobietą, więc dlaczego nie mógłby nią zostać i Wielce Czcigodny Krzysztof Śmiszek? Jestem pewien, że skoro osoba legitymująca się dokumentami wystawionymi na nazwisko „*Anna Grodzka*" to potrafiła, a w każdym razie tym się przechwalała, to dlaczego nie mógłby tego dokonać pan Śmiszek, przepoczwarząc się w Krystynę Śmiszkównę? Nie takie rzeczy robią dzisiaj chirurgowie, którym podobno udaje się nawet przeszczepianie jednych warg na miejsce drugich, więc żadnych przeszkód nie ma. Problem w tym, czy umiejętność takiego przepoczwarzania stanowi wystarczającą kwalifikację na premiera rządu całkiem sporego państwa europejskiego? Wielce Czcigodna Joanna Scheuring-Wielgus uważa, że jak najbardziej, bo czyż w przeciwnym razie stręczyłaby nam kandydaturę Wielce Czcigodnego pana Śmiszka na premiera? Obawiam się jednak, że kandydat na premiera powinien nieć kwalifikacje znacznie szersze nawet od pana Mateusza Morawieckiego, który przynajmniej z niejednego komina wygartywał, czego nie można powiedzieć o Wielce Czcigodnym Krzysztofie Śmiszku, który, zdaje się, wygartuje zaledwie z jednego. Czy w takim razie

powinniśmy zaufać Wielce Czcigodnej Joannie Scheuring-Wielgus co do Wielce Czcigodnego pana Śmiszka? Mam poważne wątpliwości, podobnie jak co do pozostałych marzeń Wielce Czcigodnej Joanny, która posiadanie rozmaitych kompetencji wiąże z płcią, dając do zrozumienia, że osobami kompetentnymi na stanowiska, dajmy na to, ministrów, są kobiety – bo jakże inaczej rozumieć jej uwagę, iż chciałaby, *„by ta szala na ważnych stanowiskach przechyliła się po stronie kobiet”*? Wielce Czcigodna Joanna Scheuring-Wielgus niewątpliwie jest kobietą – o ile takich rzeczy można być w dzisiejszych czasach pewnym – ale wniosek, jaki z tego wszystkiego można wyciągnąć, to ten, że – jak mawiał Franciszek książę de La Rochefoucauld – jest zadowolona z własnego rozumu. To nic złego, jednak pod warunkiem, że te marzenia dziewcząt nie zostaną zrealizowane, bo mogłoby to być jeszcze gorsze od realizacji marzeń Marksa i Lenina, którzy – oprócz tego, że byli Żydami – byli również mężczyznami płci męskiej.

Stanisław Michalkiewicz

Komunizm jest git!

Prawo Murphy’ego głosi, że jeśli coś złego może się stać, to na pewno się stanie. Czy rewolucja komunistyczna i komunizm to coś dobrego, czy coś złego? Kiedyś kryteria rozróżnienia między dobrem i złem były ostre, a w każdym razie – ostrzejsze niż dzisiaj, bo dzisiaj zostały stępione przez polityczną

poprawność, która jest elegancką nazwą dawnego bolszewickiego duraczenia.

Jak pisze Janusz Szpotański w nieśmiertelnym poemacie *„Caryca i zwierciadło” – „Wot Gitler, kakoj to durak. On się przechwalał zbrodnią swoją. A mudriec, to by sdiełał tak: nu czto, że gdzieś koncłagry stoją? Nu czto, że dymią krematoria? Toż w nich przetapia się historia! Niewoli topią się okowy! Powstaje sprawiedliwszy świat! Rodzi się typ człowieka nowy!”*. Toteż dzisiaj *„Gitler”*, czyli wybitny przywódca socjalistyczny Adolf Hitler jest uosobieniem zła do tego stopnia, że miłujące pokój narody przylepiają Putinowi wąsy hitlerowskie, a nie na przykład – stalinowskie, chociaż z różnych względów, chyba bardziej by pasowały? No tak – ale z drugiej strony Stalin nie mordował Żydów, przeciwnie – Żydzi bardzo skwapliwie angażowali się nie tylko w propagandę stalinowską (*„a my wszyscy jesteśmy za towarzyszem Stalinem!”*), ale i w stalinowski terror, którego symbolem jest Henryk Jagoda, czy dwaj odescy Żydzi: Cymanowski i Cesarski, którzy kolaborowali z *„krwawym karłem”*, czyli Mikołajem Jeżowem, między innymi przy *„Operacji polskiej”* NKWD, w której zginęło około 200 tys. Polaków, nie licząc tych deportowanych. Dzięki temu Stalin jest postacią zaledwie *„kontrowersyjną”*, bo chociaż dopuścił się *„błędów i wypaczeń”*, to przecież zasadniczo chciał dobrze. Co prawda Hitler też chciał dobrze, to znaczy – chciał naprawić świat w ten sposób, by usunąć z niego niewłaściwe rasy, podczas gdy Stalin w tym samym celu usuwał z niego niewłaściwie klasy, a przy okazji – również przedstawicieli niezdatnych klasowo narodowości. Zresztą nie tylko on. Jeden z bohaterów *„rewolucji francuskiej”*, której rocznicę obchodzą we Francji do dzisiaj jako narodowe święto, Jean Paul Marat, w swoim *„Przyjacielu Ludu”* pisał tak: *„Odcinajcie kciuki arystokratom, którzy knują przeciwko wam, rozcinajcie języki księżom, którzy głoszą poddaństwo!”* Czytelnikom gazety nie trzeba było tego dwa razy powtarzać, zresztą sami mieli też śmiałe pomysły. Oto uwięzionej księżniczce de Lamballe, Mallard, przywódca bandy *„przedstawicieli ludu”*, co właśnie

przepijali pieniądze otrzymane z publicznych funduszy Paryża w zamian za morderstwa, jakich dopuścili się na masową skalę, nakazał zaprzysiąc nienawiść do swoich najbliższych przyjaciół: króla i królowej. *„Gdy odmówiła, zakłuto ją natychmiast ciosami szpad i pik oraz obcięto głowę. Wówczas – jak donosi Stanley Loomis – wyrwano jej z piersi bijące serce, po czym pożarto je, odcięto nogi i ramiona, nabito nimi działa, z których wypalono. Wszystkie te przerażające rzeczy, jakich dokonano potem na jej pozbawionym członków korpusie, nie nadają się do tego, by je opisywać. Szczegóły skrywa medyczna łacina.”* Czy przypadkiem nie chodzi o rewolucyjną odmianę słynnej *„miłości francuskiej”*? Pod tym względem hitlerowcy byli bardziej powściągliwi, bo Żydów jednak nie zjadali, być może z braku fantazji, a być może z obawy przed dopuszczeniem się w ten sposób *„Rassenschande”*, czyli zhańbienia rasy?

Ale Hitler przegrał wojnę, podczas gdy Stalin ją wygrał i mało brakowało, a sądziłby Hitlera, który jednak – *„obawiając się sądu zagniewanego ludu”* – wcześniej się zastrzelił, w co zresztą wielu ludzi nie wierzy. Nawiasem mówiąc, na Ukrainie przed tamtejszym niezawisłym sądem właśnie odbył się proces rosyjskiego sierżanta, oskarżonego o zbrodnie wojenne. Oczywiście *„do wszystkiego”* się przyznał, a poza tym poprosił o najwyższy wymiar kary. No naturalnie, jakże by inaczej?! Jak widzimy, wspomniane kryteria coraz bardziej się zacierają nie tylko na skutek politycznego sprostytuowania wszystkich możliwych instytucji, ale również, a może przede wszystkim – na skutek bomby atomowej. Bomba atomowa sprawia, że wartością najwyższą staje się bezpieczeństwo, przed którym ustąpić muszą wszystkie pozostałe wartości.

O ile zatem zarówno Rosjanie, jak i Ukraińcy wymyślają sobie nawzajem od *„nazistów”* – wymarłego plemienia, którego gdzie indziej nie ma – przez Amerykę Północną i Europę przewala się komunistyczna rewolucja, w którą większość ludzi też nie wierzy, a to dlatego, że prowadzona jest ona przez jej

przywódców według nowej strategii, która w roku 1968 zastąpiła wcześniejszą strategię bolszewicką, składającą się z trzech elementów: gwałtownej zmiany stosunków własnościowych, masowego terroru i masowego duraczenia. Nowa strategia na pierwsze miejsce wysuwa duraczenie, nie bez racji zakładając, że oduraczonych ludzi nie trzeba będzie specjalnie terroryzować, co stwarzałoby ryzyko, że skapują, o co chodzi, a jak już kompletnie zgłupieją, to stosunki własnościowe będzie można zmienić nie tylko w sposób nie zwracający niczyjej uwagi, ale nawet przy powszechnych objawach zachwytu. Duraczenie to prowadzone jest przy pomocy piekielnej triady: państwowego monopolu edukacyjnego, mediów i przemysłu rozrywkowego.

I oto okazało się, że na terenie województwa warmińsko-mazurskiego właśnie rusza *„pilotażowy”* program wprowadzania *„bezwarunkowego dochodu podstawowego”* na poziomie 1300 złotych miesięcznie. Program jest *„pilotażowy”*, co oznacza, że to padgatowka do wprowadzenia takiego rozwiązania na terenie całego kraju. Pan dr Maciej Szlinder z Poznania, który kolaboruje z innymi entuzjastami projektu, bardzo ten pomysł chwali za to, że *„likwiduje”* on *„ubóstwo”*, wyraźniej zmniejsza nierówności i zapewnia bezpieczeństwo socjalne, zmniejszając niepewność dochodu. Warto dodać, że to nie jest żaden precedens, bo w rządzonych przez brunatną koalicję Niemczech (zmieszanie koloru czerwonego z zielonym daje brunatny) taki program już funkcjonuje. W landzie warmińsko-mazurskim program ten ma kosztować 78 mln złotych, ale to na początek, kiedy objętych będzie nim zaledwie 5 tys. obywateli. Kiedy zostanie nim objęta cała reszta, tj. pozostałych 25 mln obywateli, jego koszty na pewno będą większe, mniej więcej 39 mld złotych. Skąd będą pochodziły te pieniądze? A skądże by, jak nie od rządu, na który wdzięczni obywatele będą entuzjastycznie głosowali? No dobrze – ale skąd właściwie rząd weźmie 39 mld złotych, kiedy przy dotychczasowej rozrzutności zadłuża nasz nieszczęśliwy kraj ponad wszelką miarę? Odpowiedź jest prosta; jednym źródłem będzie rabunek zasobów obywateli poprzez

ukrywające się pod różnymi nazwami podatki, m.in. „*podatek emisyjny*”, czyli inflację, a drugim – postępujące zwiększanie długu publicznego, którego sama „*obsługa*” będzie w tym roku, kiedy jeszcze nie został nawet wdrożony „*program pilotażowy*” kosztowała około 50 mld złotych. Celem ma być „*bezpieczeństwo socjalne*” i „*równość*”. Warto w takim razie zwrócić uwagę, że ideał ten został już zrealizowany zarówno w niemieckich kacetach, jak i sowieckich lagrach, gdzie każdy miał zapewnione zakwaterowanie, odzież i wyżywienie. Tak właśnie przewidywał Janusz Szpotański w nieśmiertelnym poemacie „*Towarzysz Szmaciak*”: „*By mogła zapanować Równość, trzeba wpierw wszystkich wdeptać w gówno. By człowiek był człowieka bratem, trzeba go wpierw przećwiczyć batem. Wszystko mu także się odbierze, by mógł własnością gardzić szczerze. (…) A kiedy znajdziesz się za drutem, opuści troska cię i smutek i radość w sercu twym zagości, żeś do królestwa wszedł wolności!*” Właśnie na tę drogę wchodzimy.

Stanisław Michalkiewicz